

**Czas do domu. Ale pół nogi i tak zostanie w Polsce. Bo czy można oddać syna na wojnę i przygotować się na jego śmierć?**

## **Polska furtka**

**Sofija była u nas trzy miesiące. Przyjechała z Połtawy zaraz po wybuchu wojny z matką i bratankiem. Pomogła im Agnieszka: wzięła do domu, zajęła się wszystkim. W Polsce było dobrze, ale po trzech miesiącach Sofija zdecydowała się na powrót. Na Ukrainie został syn jedynak. A teraz, po 2 latach, przysłała Agnieszce wiadomość: Igor, syn jedyny, miał tylko 25 lat, nie żyje. Zginął na wojnie, w której walczył od samego początku. Poszedł bić się z Moskalami jako ochotnik.**

Teraz młodzi Ukraińcy rzadko zgłaszają się na ochotnika do wojska. Zapał z pierwszych dni wojny, gdy pod wojenkomatami w ukraińskich miastach ustawiały się kolejki, a niejeden szef firmy budowlanej albo transportowej w Polsce stawał z robotą, gdy jego ukraińscy pracownicy bez wahania zamieniali złotówki i przyszłe polskie emerytury na mundury i karabiny i z dnia na dzień decydowali się na powrót do kraju, odszedł w siną dal. Odszedł wraz z nadzieją, że dzielny prezydent Zełenski, co to nie chciał podwózki do Ameryki, weźmie kraj w karby. Urzędnicy nadal kradną i wszyscy teraz o tym wiedzą „oficjalnie”, bo na Ukrainie działają niezależne media i służby antykorupcyjne. Teraz kradną hrywny przeznaczone na zakup amunicji dla wojska albo na pomoc humanitarną. Taki na przykład szef obwodowego centrum uzupełnień w Odessie od wybuchu wojny kupił sobie nieruchomości w Hiszpanii za 4 mln euro. Urzędnicy nadal biorą łapówki. Teraz za wykupienie od wojska albo wypuszczenie w kraju mężczyzny w wieku poborowym.

Młodzi Ukraińcy i ich matki widzą, że jak Ukraina długa i szeroka rosną przy cmentarzach pola marsowe – jak nazywa się tu miejsca pochówku zabitych przez Rosjan żołnierzy. Według oficjalnych danych (ostatnich, z lutego) na krwawej i okrutnej wojnie poległo 31 tys. ukraińskich żołnierzy, ale wszyscy wiedzą, że to zaniżona liczba. Pola marsowe tonące w morzu narodowych flag rosną tak szybko.

– Władza zrobiła wszystko, żeby chłopcy nie chcieli walczyć. Ludzie widzą korupcję na ogromną skalę. Widzą też, że państwo nie dba o żołnierzy, którzy z frontu wracają ranni, bez rąk i nóg. Dostają marną zapomogę i tyle. A gdzie pomoc psychologiczna leczenie, protezy? – pyta **Kristina Hrunyk**.

Kristina, urodzona lwowianka, z wykształcenia jest pianistką i wokalistką. Teraz jako psycholog – bo skończyła też drugi kierunek studiów – pracuje z weteranami wojennymi cierpiącymi na zespół

stresu pourazowego oraz z matkami żołnierzy, którzy zaginęli na froncie. Samopomoc dla zmagających się z traumą wojenną organizuje ukraińskie społeczeństwo, korzystając z pomocy międzynarodowych organizacji. Kristina pracuje w prowadzonym przez fundację Centrum Zdrowia Psychicznego „Słowa pomagają” (w części za pieniądze, w części jako wolontariusz – jak mówi), które teraz realizuje dwa projekty: amerykański i brytyjski. Samopomoc jest w społeczeństwie szeroko rozwinięta. Kristina mówi, że około 80 proc. Ukraińców angażuje się w oddolne inicjatywy wspierające żołnierzy miesiącami tkwiących w okopach na długiej linii frontu, patrzących na śmierć kolegów i czekających na własną śmierć. Masową skalę ma gotowanie na front.

– My się tu śmiejemy, że działa u nas pierogowa sotnia – mówi nam **Iryna Martyn**. Także mieszka we Lwowie. Ma 34 lata, jest absolwentką lwowskiej Akademii Sztuk Pięknych, maluje murale i pracuje z dziećmi. – Ukrainki z „sotni” zbierają się regularnie i lepia pierogi – opowiada. Pierogi jadą potem do żołnierzy. Takie „sotnie”: pierogowe, bułeczkowe, słoikowe (z gołąbkami, mięsem, barszczem), działają w szkołach, domach kultury, domowych kuchniach, jak Ukraina długa i szeroka. I tak już od prawie 30 miesięcy krwawej i okrutnej wojny.

**Yulia** prowadzi w Łucku z mężem fundację. Zbierają wszelką pomoc wojskową i humanitarną skąd tylko można i od kogo można: z Polski, Wlk. Brytanii, Ameryki, i zawożą ją walczącym żołnierzom i ludności pod bezpośrednim rosyjskim ostrzałem. Na początku wojny Ukrainę zalewała międzynarodowa pomoc upychana w tysiące TIR-ów, które jechały w odwrotnym kierunku niż potężna fala uchodźczyń z dziećmi w wózkach i na rękach. Wszystko wtedy szło na żywioł. Teraz „humanitarka” się sprofesjonalizowała. Ukraińskie fundacje zbudowały całe sieci kontaktów z zachodnimi donatorami i organizacjami i koordynują samopomoc. Fundacja Yulii wozi zebraną pomoc pod Donieck darowanym jej brytyjskim autem.

Yulia ma dwóch synów. Obydwu wojna zastała już w Polsce, gdzie wyjechali na studia kilka lat wcześniej. Yulia teraz nie śpi po nocach, bo młodszy chce wracać na Ukrainę. Ma 25 lat. Dwudziestopięciolatek już biorą na wojnę. Ukraina zmuszona jest zaostrzać mobilizację. Ukrainie brakuje żołnierzy. Pola marsowe rosną, z frontu wracają kaleki z rękami i nogami urwanymi przez rosyjskie miny i pociski, więc do wojska biorą teraz młodszych. I biorą wprost z ulicy. Biorą z lwowskiego tramwaju. Weszli do sklepu, zabrali spod cerkwi. Nie ma takich przypadków dużo, ale lwowska ulica przechwytyje każdy jeden i hiobowa wieść idzie od domu do domu. Andrij Yulii jest w Polsce urządzony: skończył studia, po polsku mówi równie dobrze jak po ukraińsku, ale chce wracać do domu. Uparł się.

Więc Yulia nie śpi, bo żadna matka nigdy nie będzie gotowa na hiobową wieść o swoim synu.

## **Wojna kobiet**

Kristina i Iryna mogły się urządzić w Polsce. Albo pojechać do Szwajcarii. Albo w do Irlandii. Punkty zaczepienia mają w wielu miejscach w bezpiecznej Europie. Ale obie w pełni świadomie jako miejsce do życia wybrały ogarniętą okrutną wojną Ukrainę.

Kristina pierwszy raz zobaczyła tę wojnę z okna hotelu w Kijowie, gdzie jako przewodnicząca kobiecego ruchu weteranek w obwodzie lwowskim brała udział w kolejnej konferencji. Bo Kristina to aktywistka. W działalność polityczną („propaństwowa” – woli używać tego określenia) zaangażowała się zaraz po studiach. Działała w proukraińskich młodzieżówkach politycznych, organizowała akcje agitacyjne przeciwko ludziom władzy z prorosyjskiej Partii Regionów Wiktora Janukowycza, brała udział w pomarańczowej rewolucji, była obserwatorką podczas wyborów prezydenckich na Zakarpaciu i w Symferopolu na Krymie. 21 listopada 2014 r., gdy rozpoczął się Euromajdan, też akurat była w Kijowie. Poszła na Majdan Niezależności. – Jeszcze przed 2014 r. czuliśmy i rozumieliśmy, że wcześniej czy później będzie wojna – mówi Kristina.

I teraz patrzyła na nią przerażona z hotelowego okna na 12. piętrze. Z rana, o 5, zadzwonił ze Lwowa syn. Od razu zrozumiała. Rozsunęła zasłony. Cały Kijów stał w wybuchach. – Pierwsza myśl: czy moje dziecko jest bezpieczne?

- Natychmiast weszłam na Telegram. Widzę, że bomby spadają nie tylko na Kijów, ale i na Łuck, Lwów, Iwanofrankowsk... Przeszył mnie strach. Strach o dziecko – opowiada. Z drogi powrotnej pociągiem najbardziej pamięta ciszę panującą na zatłoczonych do granic możliwości dworcach. Nikt z nikim nie rozmawiał.

– Dostałam się jakoś do domu. Zaczęliśmy z mężem myśleć, co robić. Pierwsza myśl: wstępujemy do wojska – dawno byłam przeszkolona w rezerwie. Pobiegliśmy na Baturyńską, gdzie mieści się wojenkomat, a tam kilometrowa kolejka chętnych walczyć za kraj – opowiada.

Ale Kristina nie poszła na wojnę. Postanowiła wywieźć mamę i 13-letniego wówczas Darika w bezpieczne miejsce. Mogła jechać do Szwajcarii albo do Skandynawii, ale chciała blisko i przez przyjaciółkę trafiła do Zamościa. Tu wszystkim zajęła się polecona przez przyjaciółkę Eliza. A Kristina od razu wróciła do Lwowa.

Iryna Martyn kilka dni po wybuchu wojny także znalazła się po raz pierwszy w życiu w Zamościu. Też miała ze sobą syna i mamę. Z tej pośpiesznej ewakuacji: plecaki dla dzieci z najpotrzebniejszymi rzeczami władze nakazały przygotować na 2 tygodnie przez 24 lutego;

ona nie zapomniała dopakować pudełka z farbami i pędzlami, najbardziej pamięta matkę z córką, które pieszo uciekały z Kramatorska, mijając zabitych, góry rąk i nóg, aż 14-letnia dziewczynka ze strachu straciła mowę. Zamość wydał się więc opoką. - Mój Maks miał wtedy 8 lat i poszedł do przedszkola. Najbardziej polubił panią Krystynkę i zapraszał ją na kawę do Lwowa. A ja zaczęłam szukać pracy. Pukałam od drzwi do drzwi. W końcu zaczęłam malować pokoje dziecinne i salony, prowadziłam z dziećmi zajęcia artystyczne – wylicza Iryna. – Ale w międzyczasie ciągle jeździłam do Lwowa i woziłam tam prowiant i leki, bo ze sklepów u nas zniknęło wtedy wszystko. Jedzenie brałam z punktów recepcyjnych, gdzie sama byłam wolontariuszką i pracowałam jako tłumaczka.

Kristinie nawet nie przyszło do głowy, żeby zostać w Zamościu. – Nie mogłam nie wrócić. Ja mam uciekać?! To mój kraj, jestem tam potrzebna. Na drugi dzień byłam znów we Lwowie – opowiada. W domu, który Eliza znalazła dla jej syna i mamy, szybko powstał humanitarny hub. Rosnąca grupa znajomych ściągala tu dary – które jeszcze wtedy dziesiątkami TIR-ów napływały z całej Europy. – Po dwóch tygodniach poznałam pana Iwana, z którym jego busem sprinterem przez dwa lata regularnie woziliśmy pomoc humanitarną. Nie przestawałam i nie przestanę pomagać, bo tam na froncie giną ludzie, wracają chłopcy bez rąk i nóg, płaczą matki, dzieci zostają sierotami, a ile osób przepada bez wieści... – mówi Kristina. Drobną, szczupłą, z warkoczykami, nikt nie da jej 40 lat, takich kursów do Polski odbyła 20, może 30, a na wschód Ukrainy kilkakrotnie więcej. Nawet nie liczyła. Przewiozła setki ton żywności, koców, środków higieny. – Nie spałam po kilka dni. Przywożone przeze mnie dary jechały dalej, do Kijowa, Charkowa, Chersonia, Buczy, Irpinia, Sum, także na tereny okupowane, na front. Bo tam brakowało nawet jedzenia – mówi.

## **Zagłada Buczy w polskiej telewizji**

**Olga Maznichenko** też ma 40 lat. Przed wojną była dyrektorką prywatnego przedszkola „Mandarynka” w Buczy, sypialni Kijowa i jego wizytówce, z pięknymi parkami, mnóstwem kwiatów, siedzibami europejskich firm, nowoczesnymi salonami kosmetycznymi, restauracjami. Przed wojną. Przedszkole też takie było: nowoczesne, rozwojowe, stawiające na naukę języków.

- W planach miałam stworzenie sieci „Mandarynek” w innych miastach. Dobrze nam się powodziło. Mieliśmy piękny dom z ogrodem, ja i mąż każde swój samochód. Zarabialiśmy, odkładaliśmy na przyszłość dla 13-letniej Jewy – opowiada Olga. – Ale wojna zawsze

była gdzieś w podświadomości. W moim przedszkolu były wychowawczynie z Doniecka i Ługańska, które w 2014 r. pod bombami uciekały z terenu okupowanego.

24 lutego 2022 r. Olgę o 4.30 obudziły wybuchy. – Gdzieś w środku duszy od razu zrozumiałam, że to jest „to”. Bałam się słowa wojna. Popatrzyłam w okno i zobaczyłam, jak płonie nasz port lotniczy Kijów-Hostomel. Ochroniarz z przedszkola, gdzie pracowałam, zadzwonił i mówi: „Wojna”. A ja wszystko widzę w oknie... – wspomina.

Kiedy ruscy zajęli miasto, wprowadzili godzinę policyjną, na dachach najwyższych budynków ulokowali stanowiska snajperskie, przeszukiwali osiedla, strzelali do ludzi, strach był nie do opisania. – Siedzieliśmy cały czas w piwnicy. Rakiety leciały i nie wiedzieliśmy, czy będziemy żyć. Nagle fala uderzeniowa dopadła i nas. Tego strachu w Jewy oczach nigdy nie zapomnę. Podjęłam decyzję o wyjeździe – mówi Olga, dla której wtedy najstraszniejsze było, gdy na jej oczach ruscy zabili dziewczynę, wolontariuszkę, która miała dwoje maleńkich dzieci i cukiernię, w której wypiekała piękne torty. Strzały padły, gdy ratowała znajomych.

W domu została tylko 80-letnia babusia Wiera, mąż uciekł do Winnicy, a reszta rodziny ruszyła w daleką drogę. Przez Kraków i Neapol – długo by opowiadać – trafili do Tomaszowa Lub., do pani Beaty. – Już u Beaty dostałam informację, że w nasz dom w Buczy trafiły trzy rakiety. I z naszego domu został tylko gruz. I przyszedł jeszcze straszniejszy czas, kiedy w polskiej telewizji zobaczyłam zbrodnie, tortury, gwałty, jakich ruscy dokonali na mieszkańcach Buczy. Brakowało słów. Ukrywałam to przed córką i tatą.

Po trzech miesiącach Olga zdecydowała o powrocie. – Wracaliśmy donikąd, nie wiedzieliśmy, co nas czeka. Ale wracali i inni krewni i znajomi. Był mąż – do wojska go nie wzięli, bo jest po poważnej operacji głowy. Bałam się, ale chcieliśmy być razem i u siebie. Serce biło mi mocniej, gdy podjeżdżaliśmy do Buczy. A tam... Nie zostało nic! Tylko piwnica. Całe nasze życie leżało w gruzach. Wynajęliśmy mieszkanie w Kijowie, ale tam było jeszcze gorzej. Mieszkaliśmy w dzielnicy, gdzie były koszary, jednostki straży i elektrownia. Nie było dnia, żeby nie latały rakiety. Z 12. piętra, na którym mieszkaliśmy, widać było ciągle wojnę. Ale już nikt się nie chował do schronów. Po dźwięku rozpoznawaliśmy – dzieci też – jaka to rakietka, czy przeleciała, czy ją zbili. Najgorsze były szachidy – opowiada.

Rozpoczęła się odbudowa Buczy. Nikt nie czekał, aż służby państwowe usuną gruz. Każdy sam, z przyjaciółmi, znajomymi, sąsiadami, własnymi rękami wrzucał na ciężarówkę stary dom i zaczynał budować nowy. – My już rok w nim mieszkamy – mówi Olga. – Szczęśliwie ocalała nasza „Mandarynka”. I kiedy powracało nas

więcej, rodzice zaczęli prosić: „Ola, otwieraj przedszkole”. W końcu maja zaczęliśmy pracę. Teraz mamy 60 dzieci, komplet. Niby żyjemy normalnie, ale strach nas nie opuszcza.

## **Wyspać się w Polsce**

– Dobrze im było w Zamościu. Ale i mama, i syn chcieli wracać do domu. Po 6 miesiącach zabrałam ich do Lwowa – mówi Kristina.

Iryna wróciła po 3 miesiącach. – Jestem w domu, ale ciągle się martwię: czy mąż wróci z pracy, czy rakietą nie nadleci, kiedy wyłączą światło, czy nie nadejdzie wiadomość, że kolega wraca z frontu w trumnie. Jesteśmy jeszcze młodzi, ale ludzie w moim wieku nie myślą, jak żyć, a jak przeżyć. Myślimy jednym dniem, a czasami jedną godziną – mówi Iryna.

Iryna nadal pracuje z dziećmi, także tymi dotkniętymi traumą. Na oddziale rehabilitacyjnym w szpitalu wojskowym, w którym leczeni są ranni żołnierze, razem z mężem, także artystą, namalowali 10 murali. Nocami wyrabia ozdoby. Pomaga jej babcia – szyje zabawki. Koleżanki dokładają ręcznie robione mydełka, ceramikę, koraliki. Iryna zbiera to wszystko i jeździ do Polski na charytatywne kiermasze. – Za to, co sprzedam, kupuję leki, jedzenie, skarpety, bieliznę termiczną – wszystko przekazujemy na front, do 125 brygady – opowiada.

W Zamościu Iryna też wykonała mural – „Drzewo Przyjaźni”. – Drzewo jest w połowie żółto-niebieskie, a w połowie białe-czerwone. Symbolizuje życie, najważniejszą wartość na świecie. Wykonane jest w formie symetrycznej wycinanki, a to oznacza, że my, Polacy i Ukraińcy, jesteśmy podobni, mamy podobną kulturę, wartości. Chcemy żyć, mieć dom, rodzinę, marzenia. Na gałązkach drzewa są matki z dziećmi, które uciekały przed wojną. Są domy, jakie dla nich otworzyli Polacy. I są anioły, symbol Polek, które przyszły na punkty recepcyjne i pomogły wyczerpanym Ukrainkom opiekować się ich dziećmi jak własnymi – opowiada o nim. Ale potem ktoś na muralu namazał sprayem: „Wołyń pomścimy” i znak Polski Walczącej. – Więcej nic przykrego mnie nie spotkało w Polsce. A mural odmalowałam – dodaje Iryna.

Olga: – Polska jest dla mnie furtką bezpieczeństwa dla Jewy. Ale najbardziej martwią się matki chłopców. Znajomi, którzy mają synów mówią, że koniecznie muszą wywieźć ich za granicę na studia.

Iryna: – Utrzymuję w Polsce status uchodźcy. Z myślą o dziecku. Można powiedzieć, że jedną nogą jestem w Polsce, drugą w Ukrainie. Gdy przyjeżdżam do Zamościa, widzę część swojego normalnego życia, jakie wiodłam do wojny. Czuję się wolna, bo tu też mój dom.

Psychicznie ładuję tu akumulatory, żeby mieć siłę działać we Lwowie. Czy byłabym gotowa oddać swoje dziecko na wojnę? Chyba nie. Teraz z mężem nie wykluczamy, że Maksa trzeba będzie wysłać do Polski. Bo tu będzie bezpieczny.

Kristina: – Zamość kojarzy mi się z miejscem, gdzie mogłam się wyspać. Po wybuchu wojny jedynym takim. Tam została częśćka mojej duszy. Życie w Ukrainie bardzo się pogorszyło. Wskutek bombardowań i niszczenia infrastruktury wiele gałęzi gospodarki ledwie dyszy. Coraz trudniej znaleźć pracę. Jeśli ktoś ją ma, to i tak trudno wyżyć; zarobki stoją w miejscu, a ceny wzrosły wielokrotnie. Ale jestem patriotką i kocham swój kraj. Zostanę tu, nigdzie nie pojedę, ale wysłanie dziecka na wojnę przekracza moją wyobraźnię. Chcę je chronić.

**Darya**, lwowianka, ma dwóch synów. Starszy, jeszcze mu brakuje do trzydziestki, ma 2 malutkie córeczki; jeszcze nawet nie chodzą do przedszkola. Walczy od 2 lat. Teraz jest w domu, bo kula trafiła go niedaleko serca. Minał się ze śmiercią, ale żołnierzy po rekonwalescencji z powrotem zabierają na front. On też tam wróci. Młodszy syn Daryi ma 15 lat. I ma nakazane uczyć się polskiego. Najlepiej, jakby udało się go wysłać do jakiejś szkoły w Polsce zaraz po wakacjach. Bo ukraińscy chłopcy teraz stawiają się na pierwszą rejestrację, jak skończą 16 lat.